

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona -- 80 zł.

1/2 " -- 40 "
1/4 " -- 20 "
1/8 " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Wyłączność narodowa.

Weszło już w zwyczaj w Wilnie pomijać naszą redakcję przy wszelkich uroczystościach, obchodach, zjazdach, konferencjach i t. p., t. zw. *narodowych*, innymi słowy mających charakter ścisłej wyłączności narodowościowej.

Żadnej pretensji o to наша redakcja nie rości, gdyż istotnie zgodnie ze swem stanowiskiem zasadniczym traktuje z całkowitą obojętnością, jeżeli nie wprost niechętnie wszelkie poczynania pod hasłem ekskluzywizmu narodowego zwłaszcza w tych wypadkach, gdy logika i etyka nakazują przeciwnie unikanie szkodliwych tendencji nacjonalistycznych.

Oczywiście są uroczystości i zapoczątkowania, w których udział innych narodowości jest najzupełniej zbyteczny i które z natury rzeczy nie mogą wybiegać poza obręb społeczeństwa polskiego. Taki charakter np. ma akcja, mająca na celu sprowadzenie zwłok Sienkiewicza do Polski, w której polskie Wilno pragnie również wziąć udział.

Natomiast projekt wystawienia pomnika Mickiewicza w Wilnie może być traktowany z dwóch odmiennych punktów widzenia. Pomnik taki może wystawić albo naród polski największemu swemu poecie, jak to już uczynił swego czasu w Warszawie — albo kraj nasz, jako swemu najslawniejszemu synowi, jako swemu natchnionemu piewcy. W tym ostatnim wypadku pomnik winien stanąć przy pomocy wyłącznie krajowych sił i środków i do akcji tej należy wciągnąć nie tylko miejscowe społeczeństwo polskie, ale wszystkich obywateli kraju bez różnicy narodowości.

Oczywiście Komitet budowy pomnika Mickiewicza, który już się oddawna zawiązał — jak to widać z komunikatu, podpisanego przez wice-prezesa F. Ruszczyca — obrał pierwszą drogę i ma na

widoku wyłącznie prasę *polską*, naród *polSKI*, a za najpilniejsze zadanie swe uważa zaproszenie Prezydenta Rzeczypospolitej, marszałka Piłsudskiego oraz obu marszałków Senatu i Sejmu, aby raczyli przyjąć protektorat honorowy nad akcją pomnikową... Rzecz prosta również, że działalność Komitetu o takim kierunku, zmierzająca nadto do nadania uroczystości kulturalnej piętna *oficjalnego*, nie budzi w nas żadnej sympatii i zainteresowania.

Jeżeli jednak stanowisko inicjatorów budowy pomnika Mickiewicza można zrozumieć i wytłomaczyć, to już całkowicie nie daje się usprawiedliwić rażąca jednostronność i wyłączność „Wojewódzkiego Komitetu Wileńskiego pomocy Polskiej Młodzieży Akademickiej“, który akcją o charakterze czysto filantropijnym również pragnie zacieśnić w granicach narodowości panującej, podkreślając demonstracyjnie w ten sposób, że jedynie młodzież polska pomocy potrzebuje i że ona jedynie na nią zasługuje.

Antypatyczny dla nas nacjonalizm wogóle — nabiera cech szczególnie odrażających w zetknięciu z młodzieżą, która wszakże w Wilnie szczyli się tem, że jest spadkobierczynią wzniosłych haseł filareckich i która, zdawałoby się, winna „wylatywać nad poziom“, a nie naśladować „płazów w skorupie“, pływających w „odmęcie gnuśności“.

Cóż to za „Bratnia Pomoc“, która brata widzi jedynie w koledze narodowości polskiej? Cóż to za młodzież, która przychodząc z pomocą potrzebującemu koledze, zagląda w pierw do jego legitymacji, niczem policja?

Niektóre objawy tak się już utarły, że przestały ogół razić, chociaż trzeba tylko spojrzeć na nie z pewną dozą krytycyzmu, aby spostrzedz całą ich szpetność.

Przenieśmy się tylko myślą w czasy niezbyt odległe i przypomnijmy sobie środowiska studenckie w państwie rosyjskiem. Czy było wówczas do pomyslenia, aby miasta uniwersyteckie organizowały akcje

dobroczynną wyłącznie dla studentów-Rosjan? I czy nie raziłoby nas, jako zjawisko potworne, jako zupełne zdziczenie, gdyby młodzież akademicka rosyjska odgradzała się murem wyłączności narodowej w swych stosunkach koleżeńskich, zwłaszcza na polu samopomocy materialnej? Gdyby tego rodzaju stosunki zapanowały, oburzalibyśmy się i piętnowalibyśmy je mianem „czarnoseciństwa“, „zoologicznego nacjonalizmu“ „iście rosyjskiej“ nietolerancji. A cóż się dzieje obecnie, gdy studenci-Polacy z mniejszości stali się większością, gdy społeczeństwo ma możliwość udzielenia im pomocy jawnie i przy poparciu aparatu państwowego?

Bo przecież „Tydzień Akademika“ będzie funkcjonował na obszarze całego państwa, tworzą się komitety dzielnicowe, a więc w założeniu już mające charakter terytorjalny, powszechny, obejmujące całą ludność danego obszaru! Czyż nie piękniej, wznioślej brzmiałoby wezwanie do pomocy młodzieży akademickiej bez oznaczenia jej przynależności narodowościowej, zwłaszcza na naszym gruncie, tak głęboko porysowanym przez antagonizmy narodowościowe?

I właściwie mówiąc chodziłoby tylko o formę, o zasadę, praktycznie bowiem sprawa nie uległaby zmianie, zważywszy, że wobec nieprzyjmowania na uniwersytety polskie maturzystów z gimnazjów litewskich i białoruskich, zaledwie szczupła garść Litwinów i Białorusinów korzystałaby z pomocy, wciągając zaś społeczeństwo żydowskie Komitet swe fundusze powiększyłby niewątpliwie wdwojnásób.

Nie łudzimy się ani przez chwilę, aby powyższe uwagi nasze wpłynęły na zmianę nastrojów wśród społeczeństwa polskiego. Zabieramy głos w kwestji zasadniczej wyłączności narodowościowej, cechującej większość poczynań polskich u nas, jedynie z obowiązku publicystycznego, uważając, że winniśmy wyjaśnić nasze stanowisko negatywne, ponieważ wbrew

dotychczasowym zwyczajom (o których wspominaliśmy na wstępie), otrzymaliśmy zaproszenie na posiedzenie ze strony Komitetu pomocy młodzieży akademickiej oraz komunikat Komitetu budowy pomnika Mickiewicza z prośbą o wydrukowanie.

Reforma rolna w naszym kraju.

W № 6 „Robotnika Wileńskiego“ znajdujemy artykuł bez podpisu, lecz napisany z widoczną znajomością rzeczy, a traktujący o dziejach reformy rolnej w naszym kraju. Pozwalamy sobie przedrukować ten artykuł niemal w całości ze względu na jego rzeczowość i bezstronność, którą dostatecznie charakteryzuje przytoczone przez autora motto, wyjęte z pism poety białoruskiego Macieja Buraczka (Franciszka Bohuszewicza).

... *Kiń naukoła wokam,
Dyk krywawym sokam,
Nie ślazoj zapłaczasz,
Jak usio abaczysz...*

Gdy się obecnie mówi o sprawie rolnej, to pojęcie te ujmuje się, jako zagadnienie ogólnopństwowe, zagadnienie bardzo skomplikowane, uzależnione od wielu najrozmaitszych czynników, a formalnie zależne od kursu polityki Sejmu i stronnictw. Dla tego też zatracamy obiektywny i prosty sąd o naszym, że tak powiemy tutejszych stosunkach rolnych, wciąż wypatrując, jakichś zbawczych powiewów nowego kursu z Warszawy. Tymczasem życie idzie naprzód, a nieubłagany czas żłobi systematycznie i głęboko nowe warunki i układa je niezależnie od nas.—I jak stare przysłowie mówi: „nim słonko wejdzie rosa oczy wyje“, tak i u nas — nim polska polityka agrarna zdobędzie się na realną koncepcję agrarną, to ta „rosa“ stosunków obecnych, jak w tej gadce starej, wyje nam oczy. Nasza myśl demokratyczna nie powinna zapominać o tem, że kraj nasz, to jest kraj przeważnie rolników i od układu stosunków rolnych uzależniać się będzie byt naszego kraju, może w niedalekiej już przyszłości. Nasza myśl demokratyczna

Podświadome i świadome w „du-szy białoruskiej“ Syrokomli.

W swojej rozprawie jubileuszowej o Syrokomli¹⁾ prof. Zdziechowski za główną cechę zasadniczą twórczości „Lirnika Wioskowego“ uznał jego „duszę białoruską“, która się przejawiała w poezji Syrokomli może nawet bez wiedzy poety.

Komentator pracy prof. Zdziechowskiego, p. Sulima²⁾, analizę właściwości duchowych Syrokomli posunął o krok dalej, stawiając kropki nad *i* tam, gdzie *polaki* badacz — szczególnie na tle wileńskiego, chorobliwego szowinizmu polskiego — nie zrobił ostatecznych wywodów, niedopowiedział prawdy o obliczu narodowym Kondratowicza.

Ze zgrozą i oburzeniem słuchało rozprawy prof.

¹⁾ Prof. M. Zdziechowski. Władysław Syrokomla: Pierwotek litewsko-białoruski w twórczości polskiej. Wilno, 1924 r.

²⁾ Sulima. Prof. Zdziechowski ab białoruskiej duszy. „Zmańnie“ Nr 21 — 1923 r. oraz osobna broszura, Wilno, 1924 r. To samo po polsku, „Przeгляд Wileński Nr 4, 5 i 6, r. 1924.

Zdziechowskiego „narodowo myślące“ polskie społeczeństwo grodu naszego. Z oburzeniem czytało (o ile wogóle chciało czytać!) ostrą a nadzwyczaj trafną analizę krytyka białoruskiego, piszącego pod pseudonimem Sulimy³⁾. A przecie dość chwilę tylko przemyśleć to, co obaj twierdzą, by uznać wraz z nimi, iż Kondratowicz, już z pochodzenia — z dziadów pradziadów — związany z ziemią białoruską — nie mógł, gdyby nawet chciał tego, wyzwolić się od przemożnych wpływów przyrody, krajobrazu i żywego ludu białoruskiego. Nie mógł, bo wpływy otoczenia przenikają do *podświadomej* sfery duchowości człowieka, nie przechodząc bynajmniej przez pryzmat krytycznej i analizującej świadomości.

Możemy jednak z całą pewnością stwierdzić, iż Syrokomla nie tylko nie pragnął się od tych wpływów białoruskich wyemancypować, lecz kochał Białoruś i lud jej uczuciem głębokim, serdecznym, a *świadome* stanowisko jego w kwestji białoruskiej, pojmowanej jako zagadnienie odrodzenia narodowego

³⁾ Por. artykuł „Tutejszość“ w Nr 8 „Przeгляд Wileńskiego“ z r. b. (Przyp. Red.).

baczną uwagę zwrócić powinna—nim jeszcze czas!—na nasze stosunki rolne i nie uchylać się od twórczej odpowiedzialności.

Gdy nowa Polska przyszła do nas, to przyszła z hasłem „dobrej nowiny“ z hasłem reformy rolnej. Już w dziewiętnastym, a nawet w osiemnastym roku, poczęły zjawiać się pogłoski i zapowiedzi, jakiejś, jeszcze nie określonej bliżej, reformy rolnej. I jakkolwiek włościanin nasz jest z natury nieufnym, to jednak tak powszechnie i systematycznie te zapowiedzi powtarzano, że wreszcie wieś uwierzyła. Nie zdawano sobie sprawy z tego, jak to będzie. Staruszkowie gwarzyli sobie o nowej „lustracji“, o której legenda chętnie żyła po wsiach; inni to sobie bardziej namacalnie uzmysłowić starali... Dostyc tego, że był czas, kiedy hasło reformy rolnej było kursem polityki państwowej, był czas, kiedy to przeświadczenie wsiąkło w umysły wiejskiego ludu. Reforma rolna! było hasło na wsi powszechne. Dierżawcy będą uwłaszczeni, małorolni i bezrolni nadzieleni ziemią! Jednym słowem zapowiadało się to wszystko ponętnie i nawet wiarogodnie. Ludek nawet się cieszył!

Czas jednak mijał systematycznie. Nieobecne przeważnie podczas wojny i przejść bolszewickich większe ziemiaństwo powracać poczęło. Poczęły się procesy. Dzierżawców, oczekujących uwłaszczenia, sądy zaczęły nieubłaganie rugować; zapaszników usuwano.

Nareszcie nastąpiło pierwsze uderzenie obuchem: — osadnictwo wojskowe. Wojsko poczęło zajmować tereny dworskie, te właśnie tereny, które wszak miały pójść na reformę rolną. No i wreszcie przyszła sankcja państwowa reformy rolnej w postaci ustawy sejmowej z lipca 1920 roku, tego łamańca sejmowego, tego bękartu, spłodzonego przez kompromis demokracji polskiej z reakcją.

Nastąpiło otrzeźwienie, jednak za cenę nieufności do polskiej twórczości państwowej. Już dziś włościanin tutejszy w polską reformę rolną nie wierzy. Z tego wszystkiego pozostała jedna świadomość powszechna i trwała, że włościan okpili.

Jednak czas robi swoje i następują przeobrażenia życiowe. Tak zwana reforma rolna, a musimy wspominać o niej zawsze dodawać obecnie słowa

„tak zwana“ — tak zwana reforma rolna staje się jednak płaszczykiem, pod którym następuje obecnie intensywne przewartościowanie stosunków rolnych. Pod tą firmą idzie nieustanne mącenie i gmatwanie naszych stosunków agrarnych.

Kto wywiera wpływ na kierunek polityki agrarnej w naszej dzielnicy, trudno określić. W każdym razie już jest jasnym, że na nią żadnego wpływu nie wywiera ten czynnik społeczny, który idąc do powszechnych wyborów pod sztandarem reformy rolnej, mandat do jej realizowania, od ludu wiejskiego otrzymał.

Tymczasem cała sprawa, w ogólnych zarysach przedstawia się następująco: akcja rządowa, prowadzona przez Urzędy Ziemskie wygląda wprost śmiesznie mizernie, akcja ta poszła w kierunku najmniejszego oporu. Rozpoczęto z wielką pompą, a formalnie nieudolnie, bo znowuż z zupełnie mizernymi rezultatami wywłaszczać własność rosyjską, nabytą w drodze przywilejów w tych powiatach, w których nie było osadnictwa wojskowego (Litwa Środkowa). W innych powiatach wynikiem rządowej akcji agrarnej było zniechęcenie przez wieś naszą osadnictwo wojskowe.

Równolegle jednak pod firmą reformy rolnej odbywa się inna akcja — parcelacja prywatna. Przy udziale przeważnie stworzonego od hoc pośrednika, który otrzymał odpowiednie nawet ustawowe przywileje, rozpoczęła się „prywatna“ parcelacja większej własności. Mamy tu na myśli instytucje upoważnione przez rząd do parcelacji, tak zwane popularnie spółki parcelacyjne. Te spółki parcelacyjne, dbając głównie o swój zysk, a pozornie służąc interesom większej własności, rzuciły się w pierwszym rzędzie na te duże dobra ziemskie, które rzeczywiście mogły stać się terenem dla dobrotliwej reformy rolnej. Zaczęto chłastać na poczekaniu obszary duże, w które wciśnięte są wszak setki małorolnych wiosek, nie licząc się zupełnie z faktycznymi potrzebami tych wsi. Tu szła stawka na silnego, więc na tego, kto miał dobrą gotówkę. Rozkupowali więc, na prędce cięte parcele, w pierwszym rzędzie dolarowicze, następnie ten element dorobkiewiczów wiejskich, a nawet i nie wiejskich, którym perypetje wojny napchały kabzy. Sza-

Białorusinów, mało się różniło od... poglądów na tę kwestję współczesnych nam pionierów białoruskiego ruchu narodowego. Przynajmniej o ile chodzi o samodzielną rolę języka i literatury narodu białoruskiego.

Stwierdza to już sam *fakt pisania wierszy w języku białoruskim*. Oprócz znanego szeroko i cytowanego przez prof. Zdziechowskiego wiersza, witającego „dobre wieści“ z Zachodu—ruch rewolucyjny 1848 roku, pozostały po Syrokomli i inne utwory białoruskie. Na ślad takowych natrafił niestrudzony szperacz, wybitny bibliograf w dziedzinie białoruszczyzny, p. Romuald Ziemkiewicz. P. Ziemkiewicz, pilnie studując roczniki dawnych pism, natrafił również na niezwykle ciekawy *artykuł Syrokomli w kwestji białoruskiej*, zamieszczony w Nr 16 „Gazety Warszawskiej“ z roku 1857 (str. 5 i 6), którego odpis łaskawie przesłał niżej podpisanemu. Pozwolimy sobie przytoczyć najbardziej charakterystyczne ustępy z tego artykułu, bowiem jest to *zupełnie świadome, głęboko przemyślane wypowiedzenie się* naszego poety.

Otóż, jak widzimy z tego artykułu (Hebdomadalia—Wł. Syrokomli. Borejkowszczyzna d. 17 grudnia 1856 r.), poeta nasz pilnie śledził za rozwojem

odradzającej się literatury białoruskiej w utworach Wincentego Dunin-Marcinkiewicza. O utworze tegoż „Wieczornice“ zamieścił notatkę krytyczną w „Gazecie Warszawskiej“ (były więc w piśmie tem i lepsze od dzisiejszych czasów!), która wywołała wystąpienie polemiczne nieznanego autora, podpisanego kryptonimem „Y“. Po wyjściu nowej książeczki Dunin-Marcinkiewicza „Ciekawys? przeczytaj!“ (Mińsk, 1856), w której znajdujemy powiastkę białoruską „Kupała“, Syrokomla pisze o ostatniej sprawozdanie literackie a jednocześnie daje odpowiedź na szereg pytań, postawionych mu przez owego p. Y:

„I tak: w N-rze 138 „Gazety Warszawskiej“ na rok 1856 zapytuje nas pan Y: *naprzód*

„Czy dzieła pisane w tym języku Białorusinów, zasługują na radosne powitanie, bez względu na wartość ich treści?“

Odpowiadamy: żadne i w żadnym języku pisane dzieło, nie zasługuje na radosne powitanie, jeżeli nie jest pięknem lub przydatnem; ale, jeżeli jakiś język lub narzecze, z niepiśmiennego staje się piśmiennem, każda wychodząca w niem książka zasługuje

fowano przytem ziemią bardzo szczerze. Nieraz spore folwarki, których ziemią zaspokoić by można kilka wsi małorolnych, spuszczano paru bogatym rodzinom. W ten sposób zlikwidowano w rozmaitych punktach naszego kraju ogromne dobra, jak naprzykład: hrabiny Umiaszowskiej-Milewskiej, hr. Czapskich, Chreptowiczów-Butjenjewych, Piaterów i wielu innych. I to wszystko pod sztandarem t. zw. reformy rolnej. Nasycił się przytem ziemią element bogatych włościan; małorolna i potrzebująca faktycznej reformy wieś została w stanie pierwotnym, a właściwie trafiła w stan jeszcze gorszy. Charakterystyczną cechą tej akcji jest to, że na terenie tych dużych parcelacji nie bywa wcale komasacji, czyli scalania szachownicy, co wszak powinno być wynikiem każdej zdrowej akcji sanacyjnej we wsi.

Proces parcelacji większej własności w tym sensie odbywa się nadal. Większa własność, straszona reformą rolną, przytem bita na swój sposób niesłusznie, w stosunku do takiejże większej własności w rdzennych dzielnicach Polski, daninami, podatkami i ciężkimi koniunkturami gospodarczymi, — szuka ujęcia w parcelacji swoich obszarów. Tu już daje się jasno odcyfrować pewną planowość polityki agrarnej, którą rozkspirował zresztą w swem wynurzeniu, b. minister reform rolnych prof. Z. Ludkiewicz. Tu chodzi o stworzenie takich warunków, aby zmuszać pewnymi zabiegami tutejszą wielką własność do parcelacji, a następnie parcelację tę wyzyskać dla pewnej koncepcji politycznej. Spójrzmy prawdzie w oczy. Z popiołów zniszczonej wielkiej idei reformy rolnej, wyrasta jej surogat — kolonizacja Kresów. Koncepcja ponętna, stworzona przez nacjonalistyczną reakcję, na lep której łatwo wielu poszło. Ubija się przytem dwie sprawy. Odciąża się obszary w dzielnicach rdzennie polskich, gwoli zszachrowania tam reformy rolnej, — przez wylew emigracji na Kresy, a jednocześnie naszpikowuje te Kresy elementem, jak się mówi, państwowo pewnym, gwoli niby państwowej idei — zespolenia i spolonizowania Kresów. A że przytem strąca się interesy miejscowego włościaństwa, że skrzywdzi się wielotysięczne masy tubylczego ludu — to rzecz mniejsza. Dobrze jest wszak osłabić „wewnętrzny wroga”. Zresztą zwolennicy tej kon-

cepcji nie lubią wszak patrzeć w dalszą perspektywę.

Jak ta akcja będzie się rozwijała, jakie są perspektywy jej powodzenia — trudno dziś sądzić. Lecz, że do tego obecna polityka agrarna zmierza — dwóch zdań niema. Na szczęście dotychczas zabiegi w tym kierunku idą opornie. Włościanin polski nie kwapi się bardzo leżeć w tę pułapkę. Zresztą to są rzeczy drogie, bardzo drogie, z którymi obecny Skarb Polski nie potrafi sobie dać rady. Przytem patentowani do tego pośrednicy, Spółki parcelacyjne, pracując dla bardziej pozytywnej idei własnego zysku, który nie zawsze ideowo kalkuluje się — zawodzą widocznie. Dlatego wyniki kolonizacji dotychczas są słabe. Lecz sam fakt, że duch polityki agrarnej jest skierowany na tę drogę, stanowi już o treści t. zw. reformy rolnej u nas. Dla tego niema żadnej dobrej woli w tej całej akcji państwowej u nas, dla tego interesy tutejszej małorolnej ludności włościańskiej traktuje się nie życzliwie, dla tego też zamiast twórczych rezultatów państwowej akcji, mamy tylko męcenie naszych stosunków rolnych. Osadnictwo wojskowe, rugowanie dzierżawców, bezplanowa i wręcz szkodliwa parcelacja prywatna i aż... 24 komasacje wsi na 1 stycznia 1924 r. — to są rezultaty tak głośno zapowiadanej, tak reklamowanej — reformy rolnej w Wileńszczyźnie.

Lecz oprócz tych namacalnych wyników t. zw. reformy rolnej są jeszcze inne, bardziej nieuchwytnie, owoce których dojrzejają wkrótce.

Określiłiśmy obecną akcję prywatnej parcelacji, jako zło; lecz w tem złem są jeszcze gorsze rzeczy. Urzędy Ziemskie, przynajmniej tu u nas w Wileńszczyźnie, niby dozorcując parcelacji, pozwalają sobie na czynności, które nie kwalifikują się do polityki agrarnej, lecz zgoła do innej. Oto przy tym dozorcze, który wyraża się że i w kwalifikowaniu nabywców parcel, Urzędy Ziemskie tutejsze zajmują się pewną selekcją. Selekcja ta polega na tem, że najlepszym dla Urzędu Ziemskiego nabywcą ma być „kolonista zzewnątrz”. Na drugim miejscu, w braku tego importu, znośnym może być nabywca miejscowy — wyznania katolickiego, czyli tak zwany tutejszy Polak. Wręcz trefnym kandydatem, którego wyjątkowo Urząd

na zanotowanie, — jako dowód rodzącej się potrzeby pisania w tym języku lub narzeczu.

Pytanie drugie: „Czy ten język (białoruski) da się nagiąć do wszystkich wymagań myśli i stylu, i wydoskonalic się do stopnia zasługującego na nazwę języka osobnego?”

Odpowiedź: Tak jest, posiada bowiem dosyć lekkości a zarazem siły, oddaje w poezji miękkie i delikatne uczucia, w mowie potocznej posiada zwroty łatwe, wyrazy trafne. Braknie mu wielu wyrazów na oddanie tego, co nie wchodzi w skład pojęć i potrzeb naszego ludu, ale w miarę postępu samegoż ludu i upiśmiennienia języka, potrafi ze swej rdzeni wyrabiać wyrazy i wyrażenia, których dziś nie ma. Każdy język przechodził epokę dzieciństwa.

Pytanie trzecie: „Czy do tego celu wartoby dążyć, w tem nawet wątpliwem przypuszczeniu, że osiągnięcie jego okazałoby się możebnem?”

Odpowiedź: Warto i należy jako do wszystkiego co dąży do postępu. Znadto ogólnie bogatą mowę Słowiańszczyzny rozciął szanowny oponent na cztery tylko gałęzie, to jest na języki rosyjski, polski, czeski

i illiryjski. Nie przeczymy, że te cztery języki stoja na czele dyalektów słowiańskich dla swego piśmiennego wydoskonalenia, ale na cóż inne mowy usuwać od tego wydoskonalenia, za co np. w języku Białorusinów upatrywać tylko mieszaninę języków rosyjskiego i polskiego? czyż pod tę samą definicję podciągnąć i język małorossyjski? jeśli tak, to dla czegóż szanowny oponent języki czeski i illiryjski podnosi do godności języków osobnych? wszak w nich na oko znajdzie wyrazy i rossyjskie i polskie.

Z całą mocą zaprzeczamy temu, co mówi dalej szanowny oponent, że „między rossyjskim, a tak zwanym ruskim językiem, ta zachodzi różnica, jaka jest między uczeniem a wymównie wypracowanym dziełem a gminną dumką”. Ależ i lud rossyjski jest jeszcze niepiśmienny i ma swoją mowę prostą, daleką od książkowej oglady; więc by wypadalo, że ta prosta mowa ludu rossyjskiego będzie zupełnie tą samą co mowa Rusinów, bo według oponenta, różnica leży tylko w wykształceniu. A przecież tak nie jest. Nie zaiste, wszystkie mowy słowiańskie mają niemal jedne wyrazy, to jest rzeczowniki i verba, różnica leży w akcentowaniu, prozodyi, rządzie rzeczowników słów,

Ziemski przepuszcza, jest obywatel, tutejszy właściciel, wyznania prawosławnego. Takiemu zezwolenie na kupno ziemi otrzymać jest rzeczą nie łatwą.

Te sprawy nie łatwo ujrzymy może na białym papierze; lecz tam na głębokiej prowincji, tam gdzie wsie są prawosławne, tam lud wiejski wie o tem. Tam już wyrobiło się to przeświadczenie, że rząd prawosławnym nie pozwala ziemię kupować. Ech! wstyd powtarzać, ale opowiadają wiarogodni ludzie, że dla wydostania zezwolenia na kupno ziemi, zmieniają wyznanie. Któż upoważnia państwowy Urząd do takiej polityki? Zamiast reformy rolnej, propaganda katolicka!

Trzeba znać tę wielojęzyczna famę ciemnej wsi, trzeba umieć wsłuchiwać się w te głuche echa, rozlegające się między pagórkami i polami wioskowymi, aby pojąć to zło, które tworzy się przez takie postępowanie, państwu polskiemu.

Polskie czy spolszczone?

Wileński numer warszawskiego „Świata“ dał powód „Gazecie Warszawskiej“ do zabrania głosu o Wilnie. Mamy na myśli notatkę p. J. Hl. O pewnym numerze „specjalnym“ (№ 250), gdzie publicysta endecki z aplauzem przyjmuje wywody p. Jana Obsta, a monitum udziela p. Czesławowi Jankowskiemu za to, że rzekomo nie dostrzegł, obok Wilna „ziemiańskiego“, „drugiego Wilna polskiego — ludowego, składającego się z rzemieślników, sklepikarzy, robotników, służby domowej i właścian podmiejskich“. Czy to jednak niedopatrznie, czy też zlekceważenie, jak chce endecja? Ależ nie! Jest to tylko większy obiektywizm w ujmowaniu rzeczy oczywistych, większa wrażliwość w odczuciu podłoża etnicznego miasta i kraju, powiedzmy krótko, większa uczciwość publicysty, który nie dał się jeszcze porwać całkiem nacjonalizmowi i imperjalizmowi prącemu za Bug i Niemen.

Zarzucić mu jednak można, że Wilno uważa za „najbardziej na północ wysunięte miasto polskie“,

słowem w duchu języków, za cóż te różnice nazywać *skażeniem*, kiedy one są właściwością dyalektu? Dlaczego tę właściwość przyznawszy mowie czeskiej, odmawiać jej rusińskiej?

Na jedno się chętnie zgadzamy z oponentem, że wydoskonalenie jakiej mowy nie może być dziełem jednego lub kilku genjuszów, ale musi być dziełem całej społeczności, która tę potrzebę uczy i stanie na pewnym stopniu postępu. Ale czyż naganna jest rzeczą, jeśli ktoś czując w sobie chęć i zdolność zechce temu ludowi przeterorować drogę do postępów jego języka? Czyż my nie obowiązani jesteśmy z tym ludem podzielić nasz chleb powszedni i chleb ducha? czyż się co złego stało we względnie czysto literackim, że w Rosyji Kotlarewski, a u nas Padura pisali w języku małowosyjskim? czyż ich piosenki nie błakają już po wsiach ukraińskich i swoją cywilizowaną nutą nie spełniają już Amfionowego posłannictwa?

Z całym szacunkiem dla czcigodnego oponenta powtarzamy: Na tem polu pracować *można i warto*“.

Zamieszczając dalej krytykę utworu Dunin-Mar-

wtedy gdy bezstronność nakazuje, bynajmniej nie zamykając oczu na *polski spółczynnik* w życiu i rozwoju Wilna, uważać je tylko za najbardziej na północ wysuniętą *placówkę* polską. Jakaż w tem różnica? Owszem, nawet znaczna. Ścisłe polskiem jest i można nazwać to miasto, gdzie Polacy nie tylko w pewnych okresach odegrali rolę jakby dominującą, lecz też byli jedynymi założycielami powstającego grodu lub osiedla. Nie było tego z Wilnem. Więc można o niem mówić najwyżej jako o placówce polskiej, powstałej dzięki działaniu w pewnym miejscu i pewnym czasie czynników historycznych i politycznych, a nie geograficznych i etnicznych, jak w tamtym wypadku. Ze zmianą tedy słowa „miasto“ na „placówka“, moglibyśmy mniej więcej podpisać się pod niewątpliwie barwną i naogół zgodną z prawdą charakterystyką Wilna przedwojennego, które brzmi z naszymi podkreśleniami tak: „Przez dziesiątki lat podstawowe kolory tej najbardziej na północ wysuniętej placówki polskiej stanowiły potrójny kontrast. U dołu masy żydowskie, zwarte, ruchliwe a ciche (?), załęcznione, kłębiące się jakby w jakimś ghetto, po labiryntach prastarego śródmieścia; w środku nieugięta, nieustraszona, o pańskim zawsze *geście*, głęboko nawarstwiona, *wciąż* podsykana *nieustanną* siłą przemianą — polskość; u góry jak cienki werniks „kazionny“, jak cienka od parady pozłota na kopule cerkwi, przerobionej z kościoła — rosyjskość“.

„Istotnie, przez dziesiątki lat przed wojną Wilno było takim, polskość jego, jako że ziemiańska, o pańskim zawsze *geście* była. Po dzień dzisiejszy ten pański zawsze *gest* stanowi cechę charakterystyczną polskości Wilna, gdzie każdy chcący przynajmniej nazywać panem, określa się Polakiem, a każdy, mianujący się Polakiem, ma znowu nieprzepartą chęć do honorowania się pańskiego. Dajmy na to, że ziemiańska polskość Wilna była „głęboko nawarstwiona“, jednak wzrastała ona w ilość i siłę widocznie *nie* tylko przez wydawanie nowych generacji. Wnosić to można stąd, iż drugą cechą tej swoistej polskości stanowiło, że była „wciąż podsykana nieustanną siłą przemianą“. Każde tu słowo ma niemałe znaczenie, a treść cudzysłowu powyższego da się rozwinąć w

ćinkiewiczza „Kupała“, Syrokomla tak kończy cytowany przez nas swój artykuł:

„W tym utworku P. Marcinkiewiczza (ubogim w treść, ale bogatym w obrazy, świadczące o talentcie imaginacyjnym autora), znajdujemy jeszcze jeden dowód tego, cośmy rzekli, że język Rusinów ma w sobie warunki samobytnego postępu. Autor używał wyrazów i barw obcych czysto uważanej poezji ludu, a jednak nie nadużył puryzmu języka, nie powiedział nic czego by ten lud nie zrozumiał“.

I, dając szereg wskazówek poecie białoruskiemu, jak winien dbać o zachowanie cech swoistych języka oraz wyobrażeń ludu, kończy wezwaniem do Marcinkiewiczza, by nie zaniedbywał pisania po białorusku dla... wierszy polskich:

„Bóg nie wlewa bez celu do głów i serc naszych zamięłania i talentu do jakiej gałęzi wiedzy. On względem nas i naszego posłannictwa ma swoje cele, które winniśmy spełnić. Poezja ludowa, rusińska, jest areną P. Marcinkiewiczza — niech trwa na niej jak prawy gladiator“.

Ten apel gorący może najjaskrawiej mówi nam o stosunku *rozumowym* Syrokomli do sprawy odro-

zдание następujące: *nie było chwili w życiu Wilna, kiedyby ziemiańska polskość jego nie wzmacniała się ustawicznym asymilowaniem miejscowej ludności litewsko-białoruskiej*. To przetwarzanie się narodowościowe autochtonów Wilna na Polaków mogło się rozpocząć jeszcze za Gedymina, jeśli jest prawdą, że już wówczas istniała tu kolonja polska. Na większą skalę przetwórną narodowościową Wilno się stało, oczywiście, od czasów Jagielly i nie przestało być nią jeszcze dzisiaj.

Ma zupełną słuszość p. Cz. J., gdy mówi o cienkiej powłoce rosyjskiej, jaką Rosja przykryła stolicę „siewiero-zapadnego kraju“, a jaką wypadki począwszy od r. 1905 splukały. Przeoczył jednak nasz publicysta, że w Wilnie, od zarania jego dziejów, stanął w roli czynnej obok innych pierwiastek etniczny *ruski*, którego tu nie można utożsamiać z rosyjskością. Kto w Wilnie przyymyka oczy na istnienie do dnia dzisiejszego tu społecznika ruskiego, nie zapowiadającego jakoś swego rychłego „zapadnięcia się“ ze sceny dziejowej nawet w przyszłości, postępuje nierozsądnie. Błąd ten zaciąży i odbije się przynajmniej na wyniku ostatecznym takiego rozumowania z lukami. Nawet ci, co dostrzegają ruskość w Wilnie dawnem, nie chcą jej tu odróżniać od rosyjskości na przestrzeni wieku XIX, jakby ona czerzyła zupełnie lub zlała się w jedno z rosyjskością. Tymczasem cały czas istniały obie, chociaż nie myślimy przeczyć, że istotnie były próby i fakty wyzyskiwania ruskości miejscowej przez obcą rosyjskość na niekorzyść innych autochtonów kraju. Nawet pod rządem carskim ruskość krajowa zaczynała powoli odnajdywać właściwe sobie oblicze — w białoruskości. Dlatego ostrożniej należy używać znanego polemicznego argumentu o rzekomo masowym nadsyłaniu urzędników Rosjan do naszego kraju. Było tak rzeczywiście zaraz po zaborze kraju przez Rosję i po powstaniach, ale nie przy końcu w. XIX i przed wojną, kiedy i duchowieństwo prawosławne, i nauczycielstwo, i klasa urzędnicza i t. d. rekrutowały się z Białorusinów prawosławnych, których milionowe zastępy jeszcze dziś zamieszkują „kresy“, chociaż nie wszyscy ewakuowani wrócili dotąd z tułaczki po obszarach Rosji. I ta samowystarczalność pierwiastku ruskiego na

„kresach“ w ostatnich latach panowania tu rosyjskiego, stawała się coraz większą i zbliżała się do 100 %. Stąd widać, jak niesłusznym jest zupełne zignorowanie przez p. Cz. J. pierwiastku ruskiego prawosławnego, który acz srodze przetrzebiony przez wojnę i rewolucję — pozostał; mimo że rosyjskość, „jak cienki werniks „kazionny“, istotnie spłowiła do reszty.

Ale dajmy znowu głos p. Cz. J.: „Dawne stare wolne zawody wymierają powoli. Zalewa te grzyzy dawnego, czysto ziemiańskiego, krajowego Wilna centralizacja i niwelująca fala przybyszów z najróżniejszych prowincyj i dzielnic Polski“. Słów tych niewątpliwie słusznych, nie mógł jednak pozostawić bez odpowiedzi endek publicysta. On to wystąpił z teorią równoległego istnienia „Wilna polskiego—ludowego“. Takiego Wilna nie było, natomiast wszyscy znamy *Wilno ludowe litewsko-białoruskie*, przetykane gdzieindziej nazwiskami mieszczkańskimi. Rzemieślnik, Litwin lub Białorusin, polszczył się w Wilnie, będąc zależnym ekonomicznie od pracodawcy Polaka. Temuż procesowi ulegał sklepikarz, mający klientelę polską, wiedziony instynktem zysku. Robotnik wileński, Litwin lub Białorusin, w braku organizacji swoich, rychło trafiał na gruncie miejscowym czy to do kół P. P. S., czy to do polonizatorskich związków chadeckich. Służba domowa, męska i żeńska, przybývająca w pogoni za chlebem na bruk wileński z wiosek litewskich lub białoruskich, nie umiała zgoła bronić się przed koncentrycznym atakiem chlebobawców na swą narodowość i wraz z otrzymaniem nazwy o polskim brzmieniu, przeistaczała się w Polaków, o fenomenalnie ciemnej ideologii, niezdolnej i niedostępnej dla wszelkich rozumnych dowodzeń. Wreszcie włóścianie podmiejscy, jako lokaje, furmani, dozorczy domowi, woźni i in. w przedpokojach, szatniach, wozowniach i suterenach po domach ziemiańsko-polskich podlegali oksydacji polskiej. Wszyscy ci jednak bez wyjątku są takimi Polakami, że wystarczy tylko poskrobać kogoś z nich, by pod cienką powłoką polską, ukazała się zaraz litewskość lub białoruskość, okryta listkiem figowym.

Znakomitą, wprost niezrównaną pomoc ziemiaństwu polskiemu w polszczeniu kraju niósł, choć napewno bez porozumienia, Kościół, podając, dla bra-

żenia białoruskiej literatury narodowej, białoruskiego języka piśmiennego. A fakt podnoszenia twórczości Marcinkiewicza na łamach prasy polskiej — czyż nie jest to współdziałanie moralne z poetą białoruskim, może nie mniej cenne od współdziałania Moniuszki, który do komedjo - opery Marcinkiewicza „Sielanka“ napisał muzykę? (o tem *dzisiejsi* biografowie Moniuszki nie lubią wspominać!). A te porady, ta dbałość o czystość języka białoruskiego? A owa mocna, niewzruszona wiara ich, że dla odrodzenia białoruskiego pracować *można i warto?* I to w okresie pierwszych, chwiejnych jeszcze kroków na drodze twórczości poetyckiej Białorusinów, gdy jeszcze mowy o „społeczności“ białoruskiej być nie mogło!

Jakże dziwnem i... dzikiem wydać się musi każdemu bezstronnemu badaczowi sprawy białoruskiej stanowisko w tej sprawie „narodowo-myślącego“ społeczeństwa polskiego z *dzisiejszą* „Gazetą Warszawską“ na czele — dziś, gdy nie tylko „społeczność“, ale i *państwowość* białoruska jest faktem dokonany, gdy naród białoruski ma swego Kupalę, Kołosa, Bohdanowicza i wielu, wielu innych poetów miary europejskiej, przy których taki Marcinkiewicz traci wszelki

urok?! Gdy w języku białoruskim, posiadającym już ustaloną, na zasadach ściśle naukowych opartą gramatykę, wychodzą podręczniki dla szkół powszechnych i gimnazjów, odbywają się wykłady szeregu przedmiotów na Białoruskim Państwowym Uniwersytecie w Mińsku? Gdy w tymże Mińsku, gdzie po raz pierwszy i, niestety, ostatni przed 70 laty słuchano muzyki Moniuszki przy wystawieniu „Sielanki“, prosperuje teatr białoruski, nie ustępujący w niczem tak ze względu na wysoki stopień sztuki, jak i bogactwo repertuaru, teatrom innych, bardziej kulturalnych narodów słowiańskich?!

Ale o tem — tylko en passant. Wracając do cytowanego artykułu Syrokomli, stwierdzić raz jeszcze musimy, iż nie tylko w sferze twórczości poetyckiej, gdzie prym trzymają wpływy i czynniki *podświadome*, poeta nasz dał jaskrawy wyraz *duszy białoruskiej*; lecz i *zupełnie świadomie* — krytycznymi artykułami swemi o odradzającej się społecznej mu poezji białoruskiej — przyczynił się Syrokomla do wzmocnienia i rozwoju białoruskiej ideologii odrodzeniowej, a więc — i *do dalszego duszy tej utrwalenia i rozwoju*.

Wilno, 23-IX-24.

Antoni Nowina.

ku misjonarzy ludowych, naukę wiary i obyczajów wszystkim w tym samym języku polskim. Nic więc dziwnego, że dziś słyhać z ust mniejszości „Kościele, służyłeś dotąd interesom polskości, służyć teraz litewskości, białoruskości...” Jak świat stoi światem, nie było większego bałamuctwa i zrecniejszej spekulacji na uczuciu religijnem ludu, jak wszelkie głosowania i wybory, zaszły w Wilnie od r. 1919. Dlatego trudno mówić o polskości ludu wileńskiego w tym sensie, w jakim się to mówi o ludności Warszawy, Krakowa, Poznania... Ta ludowa polskość Wilna jest specyficzną, i pozwala dziś Wilnu uchodzić najwyżej za miasto *spolszczone*, ale nie polskie!

Latovicus.

Z mego notatnika.

Na pokaz.

Trzeba przyznać, że nasza municypalność wileńska, prócz pospolitych przymiotów, jak niedołęstwo i lenistwo, posiada jeszcze specyficzną cechę, która stanowczo wyróżnia ją wśród samorządów miejskich całego świata, a mianowicie wybitne zamiłowanie do humoru i satyry. Niewątpliwie bowiem dla kawału jedynie wydelegowano zagranicę dla obejrzenia najnowszych wynalazków w dziedzinie tramwajowej — radnego — chirurga! Przez ironję również bez wątpienia najbardziej śmierzące uliczki w mieście otrzymały nazwy: „Radość” i „Dobrej rady”.

Gdy zabłąkany turysta trafi wypadkiem na wyboistą drogę, ciągnącą się na dużej przestrzeni wzdłuż otwartego rowu, z którego buchają zapierające dech w piersi odory, i klnie na czem świat stoi magistrat i prześwietną Radę Miejską, nie może, mimo złego humoru, powstrzymać się od śmiechu rzuciwszy okiem na widniejącą zdala u wylotu „ulicy” tabliczkę z napisem „Radość”. Kto i czego ma się tu cieszyć — czy ubodzy mieszkańcy, że nie mają z natury zbyt subtelnego powonienia, czy przechodzień, że jest już u kresu swej przygodnej wędrówki, czy magistrat, że mu się udał taki pyszny koncept, czy wszyscy razem? — niewiadomo, dość, że radować się można i trzeba, skoro złożyć i kłać na nic się nie przyda, bo zarówno municypalność jak władze nadzorcze, zajęte układaniem betonowych chodników „jednego typu” na pryncypalnych ulicach nie mają czasu ani ochoty zaprzętać sobie głowy kwestją zdrowotności ludności w takich dzielnicach, dokąd nie zajrzy ani wycieczka z Poznańskiego, oprowadzana przez p.p. Studnickiego i Kłosa ani tembardziej cudzoziemiec, pozostający pod baczną i troskliwą opieką prof. Ruszczyca.

Nie wszyscy jednak goście zagraniczni trafiają widocznie pod dozór usługowych cicerone'ów z pod znaku T-wa Miłośników Wilna, niektórzy zapewne odwiedzają dawną stolicę Litwy incognito. Do tych ostatnich należy np. p. Stefan Graham, o którego wrażeniach z Kowna tak szeroko się rozpisano „Wilbi”. Czemuz jednak czujna, jak widać, agencja prasowa nie podała również wrażeń p. Grahama z pobytu w Wilnie, zamieszczonych w tym samym „Times'ie” o tydzień wcześniej? To, co p. Graham pisze o brudzie i nędzy Wilna powinno dojść do wiadomości naszych ojców miasta. Wywarło by to może większy skutek, niż podnoszące się od czasu do czasu głosy protestu i oburzenia we własnym społeczeństwie. Przekanałoby także, że nie wszyscy turyści i kores-

pondenci pism poprzestają na zwiedzaniu kościołów i zabytków w śródmieściu. P. Graham, ani chybi, zawędrował na ulicę Radość.

Niezmienny system.

Ministerjum oświaty w odrodzonej Polsce nie ma jakoś szczęścia do swych kierowników. Mimo tylokrotnych zmian gabinetowych, mimo że raz nawet ministrem oświaty był sam premier gabinetu, nie zdarzyło się dotąd, by ważne to stanowisko objął człowiek o wybitnej indywidualności, mający wyraźny swój program, przeprowadzający te lub owe reformy w szkolnictwie. Zmieniają się osoby, przychodzą do władzy kolejno skrajni reakcyoniści, umiarkowani konserwatyści, ludowcy i postępowcy — system jednak pozostaje ten sam, żywcem skopjowany z biurokracyjnych wzorów galicyjskich, podlany jedynie specyficznym ostrym sosem nacjonalistycznym wzmiarn dawnej przyprawy dynastycznego lojalizmu.

Ministrowie podpisują i reprezentują, rządzą zaś autokratycznie urzędnicy ministerjalni, kuratorowie, wizytatorowie i inspektorowie.

Uwidocznilo się to wyraźnie podczas niedawnego pobytu ministra Miklaszewskiego w Wilnie. Korzystając z rzadkiej sposobności zgłosił się doń cały szereg delegacji z rozmaitemi petycjami i memoriałami zarówno ze strony społeczeństwa polskiego jak litewskiego, białoruskiego, żydowskiego i rosyjskiego. P. minister wszystkich witał nader uprzejmie, uprzejmie również wysłuchiwał próśb i żądań, uprzejmie spoglądał na asystującego tym audjencjom p. kuratora i uprzejmie udzielał zdawkowych i ogólnikowych odpowiedzi, po których petenci opuszczali gabinet p. ministra z takim wyrazem, jaki się maluje zwykle na twarzy kandydata do spodziewanej posady, gdy mu oświadczą w jakiejś instytucji, że w tej chwili wprawdzie wakansu niema, ale być może później, z czasem, w przyszłości i t. p.

Pod tym względem relacje i wrażenia wszystkich bodaj uczestników audjencji są zadziwiająco zgodne z tą różnicą jedynie, że gdy interesanci narodowości polskiej odchodzili z przekonaniem, iż wszystko zostanie po staremu i nic na lepsze się nie zmieni, przedstawiciele t. zw. mniejszości narodowych unosili z sobą obawę, iż zmiany zajdą, ale na gorsze. Jakoż przewidywania ich nie były bezpodstawne, bo już nazajutrz po odjeździe ministra T-wo „Rytas” otrzymało od inspektora szkół powszechnych pismo z zawiadomieniem o *cofnięciu* udzielonego uprzednio pozwolenia wykładania aż dziesięciu naraz nauczycielom szkół litewskich...

Wobec tego nie wydaje się celową uchwałą zjazdu delegatów Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych w Warszawie, domagająca się od posłów ponownego postawienia w Sejmie wniosku o votum nieufności dla ministra oświaty. Cóż z tego, że osoba się zmieni, gdy system pozostanie ten sam?

Licz.

Bibliografia.

Bulletin du l'organe de l'Union des Associations des Etudiants Blanc-Ruthènes. „A. B. S. A”. Prague. Août 1924. Nr 1. Str. 16 i mapka Białorusi.

Białoruscy akademicy, w przededniu niedawnego kongresu C. I. E. w Warszawie, wysiłkiem wspólnym

nym stworzyli w Pradze Czeskiej własny organ, dla wywalczenia przynależnego sobie miejsca w wielkiej rodzinie akademickiej. Tymczasem ich „Bulletin“ wychodzi *aux droits de manuscrit*. Napewno wydawcy jego są dobrej myśli, że rychło cel zamierzony osiągną i, epizodyczny „Bulletin“ ustąpi miejsca perjodykowi, obliczonemu już na dłuższy okres istnienia. Redakcja usiłuje chwalebnie okazać się niezależną tak od Moskwy, jak od Warszawy, chociaż nie zawsze to się jej udaje...

Spółpracownikami nowego organu są nazwiska mniej znane w Wilnie. Nasamprzód M. Koberec (leśnik) mówi o pierwszym kongresie zjednoczenia akademików białoruskich w sierpniu r. b. w Pradze. Ciekawszym jest następny artykuł pióra G. Ka (kryptonim) o stanie szkół wyższych na Białorusi. Autor nazywa białoruski uniwersytet w Mińsku trafnie i dowcipnie: *un certain mélange de la Sorbonne et de la Tschéka*. Istotnie wyższe szkoły w Bolszewji ogólnie pozbawione są wszelkiej wolności akademickiej, poza, rozumie się, propagandą komunistyczną. Organ białoruskich akademików „Mołodaja Bielaruś“ zaraz po ukazaniu się został skonfiskowany, a redaktora uwięziono.

Inne tu artykuły wyszły z pod pióra M. Gudoka (studenta filozofji), M. Switezia (studenta prawa) i in.

W zeszycie omawianym spostrzegliśmy parę błędów. Np. ententa przed wojną światową wcale nie proklamowała walki o wolność narodów uciśnionych (p. 10); na nic się też nie przyda akademikom białoruskim polityczne dyskutowanie na Zachodzie bandyckich napadów na „kresach“...

Korekta dość niedbała. Np. gen. Rydz-Śmigły pisze się tu z gruzińska „Rodziszmigli“.

Spectator.

Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej.

(Minister oświaty a delegacja żydowska. — Zarzuty d-ra Szabada przeciwko „Kołu Żydowskiemu“. — Obrona posła Wygodzkiego).

Podczas pobytu ministra oświaty p. Miklaszewskiego w Wilnie, dr. Szabad wręczył mu memoriał w sprawie szkolnictwa żydowskiego, poczem zamieścił dwa artykuły w „Togu“ w tej materji.

Dr. Szabad w artykule pierwszym zaznacza, że nawet za czasów carskich, gdy przybywał minister oświaty do Wilna, odwiedzał on zazwyczaj żydowskie instytucje wychowawcze. Minister zaś odrodzonej Polski ignoruje zupełnie Żydów wileńskich, a w odpowiedzi na memoriał słyszy się do znudzenia powtó-

rzony już frazes: Musicie panowie jeszcze zacząć. W artykule tym między innymi czytamy:

„Gdyby polscy ministrowie i leaderzy partji naprawdę pragnęli, ażeby Polska była silną, zarówno na zewnątrz jak i wewnątrz, musieli by zrozumieć, że zadośćuczynienie elementarnym potrzebom kulturalnym ludności żydowskiej leży w interesie państwa polskiego. Gdyby posiadali oni prawidłowy i nieograniczony punkt widzenia zrozumieli by, że Rzeczypospolita, która pragnie być silną i zatrzymać każdą piędź ziemi obecnej Polski na wschodzie jak i zachodzie, nie może być zainteresowana w tem, ażeby tylko jedna narodowość, nawet stanowiąca większość, była panującą, uprzywilejowaną. Dla Polski ważnem jest to, ażeby miała w szerokim świetle wielki walor zarówno polityczno-ekonomiczny, jak i kulturalny, a to da się osiągnąć przez wspólną pracę wszystkich obywateli bez różnicy narodowości.“

Drugi zaś artykuł d-ra Szabada jest aktem oskarżającym, skierowanym przeciwko „Kołu Żydowskiemu“, które, zdaniem autora, nie uczyniło nic dla szkoły żydowskiej.

Ciekawy jest zarzut p. Szabada, dotyczący wspólnego frontu Żydów z innymi mniejszościami narodowymi. Wreszcie d-r Szabad uważa, że zadaniem chwili bieżącej jest wywalczenie szkół z językiem wykładowym żydowskim.

Z racji tego ostatniego artykułu poczuł się dotkniętym poseł Wygodzki. To też zamieścił on odpowiedź d-wi Szabadowi w temże piśmie.

Doktor Wygodzki przyznaje, że wprawdzie „Koło“ nie jest pozbawione wad, ale mimo to posiada ono ogromne znaczenie, którego nie wolno niedoceniać. Zarzuca on natomiast doktorowi Szabadowi, że taktyką swą poniżył on szkolnictwo żydowskie w oczach ministra oświaty, który, wedle jego słów, wysmiewał wprost delegację Centralnego Komitetu Oświaty z d-rem Szabadem na czele. Również zdaniem posła Wygodzkiego d-wi Szabadowi wolno było przemawiać tylko imieniem jednej centrali szkolnej, a nie wszystkich szkół żydowskich. Należało wręcz ministrowi oświaty wspólnie opracowany memoriał imieniem całego szkolnictwa żydowskiego.

Poseł Wygodzki zrzuca też winę za istniejący stan rzeczy w szkolnictwie na gruncie wileńskim na C. K. O., który ze względów partyjnych postarał się o wyjęcie szkolnictwa z pod kompetencji gminy żydowskiej, tej jedynej instytucji, której przysługuje prawo przemawiać imieniem ogółu Żydów wileńskich. Wreszcie podkreśla, że na arenie sejmowej jak i u władz występuje on zawsze jako rzecznik wszystkich szkół zarówno hebrajskich jak i jidyszystycznych. To też taktyki tej — stwierdza p. Wygodzki — winni się trzymać wszyscy ci, komu sprawa wychowania żydowskiego leży na sercu.

Miecz. Gold.

Treść numeru: Wyłączność narodowa. — Reforma rolna w naszym kraju. — *Latovicus*. Polskie czy spolszczone? — *Licz*. Z mego notatnika. — *M. Gold*. Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej. — Bibliografia. Odcinek. *A. Nowina*. Podświadome i świadome w „duszy białoruskiej“ Syrokomli.